

Zmitologizowana Ameryka

15 maja 2022

Rozpad ZSRR i zniknięcie całego bloku wschodniego na początku ostatniej dekady XX wieku wywołały w Stanach Zjednoczonych poczucie triumfu, który najbardziej lapidarnie i metaforycznie wyraził Francis Fukuyama w słynnej frazie o „końcu historii”.

Od tego czasu tzw. reszta świata miała przyjąć wzorce zachodniej demokracji liberalnej, a kapitalizm miał rozwijać się bez żadnych ograniczeń w skali globalnej. Było w tym przekonaniu sporo samozadowolenia i pychy, a także zwykłego lekceważenia i braku szacunku dla rozmaitych odmienności naszej planety.

Atak Stanów Zjednoczonych na Irak w 2003 roku, zakończony „pyrrusowym zwycięstwem”, spełnił jedną ważną rolę w psychologii politycznej Ameryki. Pozwolił pozbyć się czy zapomnieć o syndromie wietnamskim. Obecnie mało kto ośmieli się wrócić do tamtej haniebnej wojny. Któżby śmiał nazwać Lyndona B. Johnsona „rzeźnikiem”, czy zbrodniarzem wojennym? Obecnie uwaga świata koncentruje się na innym agresorze i jego ofierze.

Stany Zjednoczone stoczyły w okresie powojennym wiele własnych, często niepotrzebnych wojen. I w praktyce, mimo przeważającej siły nad arbitralnie wskazanym wrogiem, wszystkie te wojny przegrały. Najbardziej spektakularną klęskę poniosły w Afganistanie. Kabul w sierpniu 2021 roku stał się synonimem „drugiego Sajgonu” sprzed 46 lat, po którym wiarygodność strategiczna przywództwa amerykańskiego w systemie międzynarodowym dramatycznie spadła. Dlatego tak ważna dla odbudowy reputacji i wiarygodności Ameryki stała się wojna na Ukrainie w 2022 roku, niosąca trudne do przewidzenia implikacje dla całego systemu międzynarodowego.

Stany Zjednoczone od czasów „zimnej wojny” pozostały na

stanowisku manichejskiego podziału świata na „Dobro” i „Zło”, przypisując sobie rolę gwaranta wartości liberalnej demokracji. W ideologii amerykańskiej nie ma miejsca na tolerowanie innych systemów ustrojowych ani odmiennych wizji ładu międzynarodowego. Taka postawa jest wynikiem przyjęcia kilku mitów w polityce zagranicznej USA, które utrudniają rozpoznanie rzeczywistości międzynarodowej waszyngtońskim elitom i uniemożliwiają podejmowanie racjonalnych decyzji. Mity jako fałszywe przekonania utrudniały poznanie prawdziwej rzeczywistości, choćby w odniesieniu do demokracji przedstawicielskiej, kapitalizmu wolnorynkowego czy idei postępu.

Uzyskały one dzięki skutecznej propagandzie wydźwięk pozytywny, ponadczasowy i niemal mesjanistyczny. Stało się to w długim procesie „socjalizacji”, z udziałem kościołów, mediów masowych, korporacji i grup nacisku oraz partii politycznych. W ostatnich dekadach coraz większą rolę w upowszechnianiu wiary w prawa człowieka i demokrację odgrywały media społecznościowe. Internet okazał się najsilniejszą bronią Zachodu przeciw reżimom niedemokratycznym, choć niekoniecznie konsekwentnie i uczciwie pokazującym Amerykanom takich sojuszników, jak Arabia Saudyjska i wiele innych bliskich „ideowo” dyktatur.

Podkreślanie atrakcyjności amerykańskiego ustroju stało się ważnym elementem propagowanej od lat soft power, którą piewcy, tacy jak Joseph S. Nye, uczynili podstawą amerykańskiej reputacji i wiarygodności. Na skutek metodycznej indoktrynacji i propagandy, wielu ludzi na świecie, łącznie z badaczami systemów politycznych, uwierzyło w ten amerykański fenomen. Zapomina się jednak, że kolejne kampanie wyborcze w Stanach Zjednoczonych stanowią festiwal kłamstw, korupcji i dezinformacji. Nie mówiąc o manipulacjach przy systemie wyborczym i wybiegach przy liczeniu głosów oraz kontrowersyjnym wyznaczaniu zwycięzcy. Nie bez powodu Ameryką wstrząsnął w styczniu 2021 roku protest zwolenników pokonanego

Donalda Trumpa na taką skalę, jakiego nigdy dotąd nie było.

Źródła mitologii o szczególnym powołaniu Stanów Zjednoczonych (idea wyjątkowości – ekscepcjonalizmu) tkwią w początkach kolonizacji Ameryki, przybyciu z Europy do „ziemi obiecanej” pionierów i odkrywców, którzy nowy kontynent uznali za terra nullius, odmawiając rodowitym mieszkańcom tych ziem prawa do istnienia. Byli to purytanie – radykałowie, którzy nie tylko chcieli oczyścić (purify) Kościół anglikański z jakichkolwiek śladów pokrewieństwa z rzymskim katolicyzmem, ale od początku buntowali się przeciwko zbyt łagodnej interpretacji Pisma Świętego. Z czasem narodził się fundamentalizm religijny, który jest bazą ideologiczną dla skrajnego konserwatyzmu. Ewangelicka prawica stała się silnym i zdyscyplinowanym zapleczem dla Partii Republikańskiej, tak jak kiedyś dla Demokratów były związki zawodowe.

Eksterminacja ludności indiańskiej jest jedną z najczarniejszych kart historii Stanów Zjednoczonych.

Przez ponad dwa stulecia dziejów w USA wykształcił się jednak pewien „szantaż moralny”, który nie pozwalał „patriotycznym” politykom, ani zwykłym obywatelom na przyznanie się do prawdy. Dotyczyło to także Czarnych Amerykanów, którzy w historii swoich przodków widzą „zbrodnię tysiąclecia”. Gdy jako jeden z pierwszych upomniał się o prawdę historyczną historyk z Uniwersytetu Bostońskiego Howard Zinn, nazywano go zdrajcą i grożono zamachami na jego życie („Ludowa historia Stanów Zjednoczonych. Od roku 1492 do dziś”, Warszawa 2016).

Dominująca opowieść o dziejach Stanów Zjednoczonych oparta była na biblijnym micie „światłości świata i miasta na wzgórzu leżącym” – zgodnie z metaforą pastora Johna Winthorpa, użytą w 1630 roku w kazaniu wygłoszonym przed wyprawieniem się pierwszych kolonistów za Atlantyk. Powtarzano ją wielokrotnie w oficjalnych wypowiedziach prezydentów amerykańskich. Misją dziejową Stanów Zjednoczonych jest w tej narracji szerzenie wolności na świecie, a status potęgi ułatwia realizację tego

zadania. W imieniu „cywilizowanego” świata USA gotowe są interweniować wszędzie, gdzie odmawia się wdrażania uniwersalnych wartości w życie. Pod przykrywką „interwencji humanitarnej” zrodziła się doktryna, której zastosowanie znalazło dobitny wyraz w latach dziewięćdziesiątych ub. wieku i w pierwszej dekadzie wieku XXI (Bośnia i Hercegowina, Irak, Libia i in.).

Indiańskie zagrożenie i strach przed nim zmitologizowano w literaturze i hollywoodzkich produkcjach filmowych o bohaterach Dzikiego Zachodu. To nie Amerykanie – napastnicy i zdobywcy – stanowili zagrożenie dla Indian. To „czerwonoskórzy” siali strach, napadając na „poczciwych” pionierów i pielgrzymów do Nowego Świata. W tę tendencję „geopolityki strachu”, ale już w coraz szerszej skali zaczęto wpisywać wszystkie państwa, które stanęły w pewnym okresie na drodze realizacji interesów mocarstwowych USA – Meksyk, Hiszpanię, Kubę, Niemcy, ZSRR, Japonię, Rosję, Koreę Północną, Iran, Irak, Syrię, Libię, Wenezuelę i Chiny. „Mit zagrożenia” stał się istotnym instrumentem w kształtowaniu ekspansywnej strategii bezpieczeństwa, polegającej na odwracaniu znaczeń wroga i agresora.

Po rozpadzie ZSRR znikło zagrożenie ze strony komunizmu, ale pozostała Rosja, która mimo słabości wyrosła w ujęciu tej filozofii do miana kolejnego wcielenia „Zła”. Jej agresje na Ukrainę w 2014 roku i 2022 roku stały się podstawą samospełniającego się proroctwa. Znow zatriumfowała logika usprawiedliwiania interesów USA, oparta na odwracaniu znaczeń i hipokryzji (J.J. Mearsheimer, „Wielkie złudzenie. Liberalne marzenia a rzeczywistość międzynarodowa”, Kraków 2021).

Zanegowano przede wszystkim swój udział w „przeciąganiu” Ukrainy na stronę Zachodu.

Interesującą strategią stało się prowokowanie drugiej strony do ataku, co stanowi podstawę uzasadnienia dla sankcji i odwetu. Do tego dochodzi potępienie ze strony tzw.

społeczności międzynarodowej, która „murem” stoi za Ameryką (co nie do końca jest prawdą, bo przecież najludniejsze państwa świata – Chiny i Indie – zajmują w tych sprawach własne stanowisko).

Często dzieje się tak, że międzynarodowa opinia publiczna jest wprowadzana w błąd przez będące pod wpływem agend rządowych USA media masowe. Arbitralnie wskazują one winowajcę, przypisując mu najgorsze cechy, zasługujące na moralne potępienie, a nawet fizyczną likwidację. Tak było z atakiem na Irak Saddama Husajna, z napaścią na Libię Muammara Kadhafiego, tak jest także obecnie w konflikcie z Rosją Putina. Wejście państw zachodnich na Ukrainę w 2013 roku spowodowało narastające napięcia między Moskwą a Kijowem. Ich podsycanie przez Zachód potęgowało w Rosji „syndrom oblężonej twierdzy” i ostatecznie sprowokowało ją do agresji. Zrozumienie tych mechanizmów nie jest dla wielu obserwatorów łatwe, o czym świadczy emocjonalna reakcja wielu środowisk opiniotwórczych, bez woli i chęci zrozumienia motywów postępowania stron.

W debacie o wojnie na Ukrainie mamy do czynienia z niezdolnością i niechęcią wyważenia obiektywnych i subiektywnych uwarunkowań oraz nieumiejętnością przyczynowego wyjaśniania zjawisk i procesów. Pod wpływem jednostronnej amerykańskiej narracji upowszechnia się tendencja do absolutyzowania we wszystkich sprawach własnej racji, tak jakby druga strona żadnych swoich racji nie miała. Takie postawy eliminują jakiekolwiek możliwości wypracowania kompromisów na drodze dyplomatycznej, a dehumanizacja oponenta i atawistyczna wrogość do drugiej strony na długie lata grzebią jakąkolwiek szansę porozumienia. A przecież w stosunkach międzynarodowych nigdy nie udawało się skutecznie wykluczyć kogoś ze wspólnoty międzynarodowej na zawsze. Przeciwnie, upokorzenia pokonanego narodu rodziły odruch odwetu i rewanżu, które niosły jeszcze tragiczniejsze konsekwencje niż wcześniejsze zbrodnie. Przypadek Niemiec weimarskich jest tego najlepszym potwierdzeniem.

Gdy spogląda się na cywilizację Zachodu, to w ciągu ostatnich pięciuset lat narzuciła ona „reszcie świata” swoją dominację, często za cenę eksterminacji ludów i dewastację ich kultur. Potomkowie dawnych mieszkańców Ameryk mówią obecnie w językach przybyszów z Europy, a Afroamerykanie często nie mają żadnego pojęcia o swoich przodkach, przywożonych na plantacje jako siła robocza. Warunkiem zdobycia jakichkolwiek karier i pozycji zawodowych jest całkowite wtopienie się w kulturę świata zachodniego. Widać to na przykładzie karier Colina Powella czy Condolizzy Rice w USA. Zwolennicy obrony swojej tożsamości są nadal marginalizowani i piętnowani.

Mit uniwersalnych wartości

Przewagi cywilizacyjne (rewolucje technologiczne, przemysłowe i naukowe) Zachodu dały mu poczucie wyższości nad innymi kulturami i regionami świata. Zbiorową wyobraźnię ludzi Zachodu wypełniono przekonaniami, często fałszywymi, że ich rządy, gospodarka, organizacja struktur społecznych, armia, prawo, a nawet religia, są lepsze niż wszystkich pozostałych mieszkańców Ziemi. Już w 1801 roku Thomas Jefferson podczas zaprzysiężenia na prezydenta nazwał republikę „imperium wolności”.

Ten geopolityczny twór, wyrastający z pnia niewielkich kolonii angielskich dokonał podboju Ameryki Północnej, roztoczył kontrolę nad Ameryką Południową („siostrzanymi republikami” według doktryny Jamesa Monroe, które przez niemal dwa wieki pozostały służebnymi wobec USA dyktaturami), a wraz z przystąpieniem do I wojny światowej, za prezydentury Thomasa Woodrowa Wilsona, wyartykułował „wielki projekt demokratycznego imperializmu” (orędzie do Kongresu z 8 stycznia 1918 roku). Wilsonowski „internacjonalizm” stał się znakiem rozpoznawczym pouczenia przez Stany Zjednoczone innych państw, jak mają żyć, ale także wymuszania i podporządkowywania przy pomocy legalnych i nielegalnych środków, w tym interwencji zbrojnych, posłuchu i subordynacji.

Tylko niektóre państwa zdołały obronić swoją specyfikę i tożsamość. Należą do nich przede wszystkim Chiny i Rosja. To ich opór spędza oczu sen amerykańskim strategom, którzy odrzucają koncepcję realizmu cywilizacyjnego, postulującą uznanie pluralizmu wartości i interesów jako podstawy współżycia międzynarodowego.

Centralny mit Zachodu, składający się na ideologię liberalizmu jako podstawy demokracji, wolnego rynku i praw człowieka, polega na przypisywaniu tym wartościom uniwersalnej wagi i znaczenia. Jego kształtowanie zaczęło się wraz z epoką podbojów kolonialnych, którym towarzyszyło przekonanie o „misji cywilizacyjnej” Europejczyków i „brzemieniu białego człowieka”. Liberalny pogląd na świat miał wyrażać nie tylko uniwersalne wartości Zachodu, ale orientować na nie inne regiony globu. W ten sposób miała zwyciężyć wizja ładu międzynarodowego, którego liderem miały być Stany Zjednoczone.

USA od początku swojego istnienia promowały ideały demokracji liberalnej, często w samej Ameryce niemające wiele wspólnego z rzeczywistością. Unikalna forma polityczna, jak pokazywał to Alexis de Tocqueville, miała polegać na radykalnej decentralizacji państwa. Z czasem okazało się jednak, że silne państwo wymaga centralizacji w dziedzinie wojskowości i polityki zagranicznej. Tymi sprawami władza udzielnie prezydent poza kontrolą innych władz (ustawodawczej i sądowniczej) oraz stanów. Amerykańska demokracja stała się ustrojem dla wybrańców, przedstawicieli „białej rasy panów”, którzy stworzyli na długie lata system segregacji rasowej, co przeczyło uniwersalizmowi wolności, równości i prawa do własności. Był to ustrój „elitarnej” demokracji, do którego bardziej pasuje określenie „oligarchii” czy „plutokracji”. Wzniosła retoryka wolnościowa kolejnych prezydentów wpisuje się w doskonałą mistyfikację informacyjną.

Istotą rzetelnej diagnozy ustroju amerykańskiego jest to, że chroni on formalne prawa polityczne, ale pomija regulację stosunków między kapitałem a pracą (tzw. prawa socjalne).

Państwo jest służebne wobec kapitału, a wielkie korporacje cyfrowe, wydobywcze, zbrojeniowe czy konglomeraty finansowe decydują o funkcjach władzy politycznej (tzw. urynkowanie, deregulacja i prywatyzacja państwa). Podstawą gospodarki jest pogoń za zyskiem i zagwarantowanie bezpiecznego dysponowania własnością, traktowanie ludzi jako konsumentów, znoszenie barier inwestycyjnych, ograniczanie podatków dla najbogatszych w imię stymulowania biznesu, marginalizowanie związków zawodowych i in.

Stany Zjednoczone zaczęły w sposób zorganizowany promować i propagować wartości demokracji, praw człowieka i wolnego handlu stosunkowo wcześniej, bo z początkiem XX wieku, przy pomocy rozmaitych środków: radia, a następnie telewizji, agencji rządowych, z których najbardziej znana to U.S. Agency for International Development (USAID), ośrodków kultury, think tanks (jak Council on Foreign Relations oraz Brookings Institution), licznych fundacji pozarządowych, ale i finansowanych przez rząd, jak np. National Endowment for Democracy. Stałą praktyką stało się przyciąganie przy pomocy stypendiów na amerykańskie uniwersytety zagranicznych studentów (zwłaszcza w dziedzinie ekonomii i administracji biznesu). Po ich powrocie do rodzinnych krajów mieli oni przyczyniać się do upowszechniania i internalizacji wartości Zachodu, stając się często elementem składowym kompradorskich elit.

Amerykańskie elity polityczne i gospodarcze już w trakcie II wojny światowej uznały, że „berło przywództwa światowego” po klęsce Imperium Brytyjskiego przejdzie w ich ręce, że nadchodzi „pierwsze stulecie Ameryki jako dominującej potęgi na świecie”. Przewaga gospodarcza USA i zdolności strategiczne oparte na planetarnej sieci baz wojskowych od Arktyki do Przylądka Dobrej Nadziei i od Atlantyku do Pacyfiku stanowiły dźwignię wcielania w życie „wizji wszechmocy”. Przeciwważenie potęgi amerykańskiej przez ZSRR, a przede wszystkim klęska w Wietnamie podważyły amerykańską pewność siebie, ale złudne

wizje wszechmocy powróciły po rozpadzie bloku wschodniego. Przekonanie o szczególnym przeznaczeniu Amerykanów, „wybranych przez Boga” stało się podstawą praw i obowiązków USA w przewodzeniu i dominacji nad „resztą świata”.

Neokonserwatywni „triumfatorzy” znowu zaczęli marzyć o „unipolarnym momencie” i amerykańskiej „supremacji”.

Hegemonia Ameryki miała zapewnić światu pokój, dobrobyt i bezpieczeństwo. To, że w obronie tych wartości USA wykorzystują rozmaite formy i środki przymusu, jest uzasadnione prawomocnością ich przywództwa, z jednej strony będącej rezultatem potęgi, a z drugiej – przyzwolenia ze strony całego Zachodu.

Promowaniu wartości zachodnich służyła globalizacja, którą neoliberałowie uznali za nieuchronną (zgodnie z formułą wypowiedzianą przez Margaret Thatcher: „There is no alternative” – TINA). W konsekwencji państwa zostały poddane rygorom globalnej ekonomii, przypominającym dyktat z czasów totalitarnych. Instytucje nadzoru międzynarodowego – Bank Światowy i Międzynarodowy Fundusz Walutowy, a także Światowa Organizacja Handlu – stały się nadzorcami porządku, który nazwano „konsensusem waszyngtońskim”. Co to za konsensus, jeśli jest on narzucany odgórnie i arbitralnie przez współczesnych zdobywców i kolonizatorów państwom słabszym, niemającym wyboru?

Zmiana administracji w Waszyngtonie w 2016 roku, a następnie skutki pandemii COVID-19 obnażyły negatywne konsekwencje globalnej deregulacji, zwłaszcza w sferze uzależnień od powiązań gospodarczych z Chinami, największym rywalem Ameryki. Donald Trump był pierwszym prezydentem, który uświadomił Ameryce jej niemożność narzucania swojej woli „reszcie świata”. W sprzeczności wobec Stanów Zjednoczonych zaczął się bowiem kształtować nowy porządek, oparty na wielobiegunowości i cywilizacyjnym pluralizmie. Prezydentura Joe Bidena przejdzie prawdopodobnie do historii jako jedna z ostatnich

prób dramatycznej walki o utrzymanie przewag Ameryki w systemie międzynarodowym. Na naszych oczach upadają przy tym mity o wolnościach świata zachodniego. Przy okazji wojny na Ukrainie okazało się, że Stany Zjednoczone kolejny raz wykazują determinację w obronie mitycznych wartości Zachodu, nie zważając na to, że broniona przez nie Ukraina żadnych standardów demokracji i wolności nie spełnia, nie mówiąc o tym, że wcześniej została zwasalizowana przez Amerykę.

Wojna instrumentem polityki hegemonicznej

Paradoksem jest to, że mimo podziału sceny politycznej na dwie części, reprezentowane przez Partię Republikańską i Partię Demokratyczną, tak naprawdę za wszystkie „krucjaty ideologiczne” ostatnich dekad odpowiadają ci sami ultranacjoniści i neokonserwatyści, wskrzeszający „wolę zwycięstwa” w zmaganiach z nieposłusznymi wobec Ameryki „tyranami”. Bez względu na polityczne afiliacje kolejne administracje USA wciąż pozostają strażnikami amerykańskiej misyjności, gotowymi w różnym zakresie stosować przemoc w formie interwencji i ekspedycji karnych. (Za czasów republikanina Ronalda Reagana USA interweniowały w Nikaragui i Grenadzie, za demokraty Billa Clintona w Jugosławii i na Haiti, a za George’a W. Busha w Afganistanie i Iraku. Pokojowy noblista i demokrat Barack Obama zasłynął największą liczbą wyroków skazujących wrogów Ameryki na śmierć. Wszystkie amerykańskie interwencje są przejawem arogancji i militarizmu Stanów Zjednoczonych i nie mają nic wspólnego z ideałami „wolnego świata”).

Mamy do czynienia z samonapędzającą się machiną maksymalizacji bezpieczeństwa narodowego poprzez nakręcanie spirali zbrojeń i legitymizację władzy hegemonicznej przy pomocy odpowiedzialności za bezpieczeństwo globalne. Elity amerykańskie, za którymi stoją kompleksy militarne, biznesowe

i służby specjalne, wykazują szczególną determinację i gotowość użycia siły w dążeniu do zaspokojenia interesów mocarstwowych. Dlatego wojna należy do trwałych środków w arsenale amerykańskiej polityki zagranicznej.

Często jednak są to operacje ukryte i tajne, mające na celu dostarczanie uzbrojenia, szkolenie specjalistów, wsparcie rozpoznawcze i in., którego doświadczyła także Ukraina po zmianie władzy dokonanej na drodze coup d'état w 2014 roku. Wniknięcie w specyfikę form oddziaływań międzynarodowych USA, skali wykorzystywanych środków i wyrafinowanych metod przysparza niejednemu autorowi wiele trudności. (Chwalebnie na tym tle wyróżniają się książki Setha G. Jonesa, „Tajna operacja. Reagan, CIA i zimnowojenny konflikt w Polsce”, Katowice 2019 oraz Bruno Drwęskiego, „Zagrabiona historia Solidarności. Został tylko mit”, Warszawa 2020).

W przypadku napaści Rosji na Ukrainę Stany Zjednoczone nie mogą zaangażować się bezpośrednio, ale podejmują wiele starań, aby per procura (by proxy) stanąć zbrojnie po stronie Kijowa (por. F. Bryjka, „Wojny zastępcze”, Warszawa 2021). Zachód, jak nigdy dotąd, odnalazł się w pełnej gotowości mobilizacyjnej, aby uwiarygodnić dźwignię solidarności sojuszniczej, wynikającej z art. 5 traktatu waszyngtońskiego. Co jednak zastanawia, „reszta świata” nie wykazuje jakiejś szczególnej mobilizacji w potępieniu Rosji za jej agresywną politykę. Nie aktywizuje się ani Ameryka Łacińska, ani Afryka, a w Azji Wschodniej poza Japonią też nie widać wielkiego poparcia. Nawet Watykan zachowuje osobliwą wstrzeźliwość w nazywaniu agresora po imieniu. Co gorsza, wiele wskazuje na to, że Stany Zjednoczone tracą poparcie największego partnera w dziedzinie bezpieczeństwa energetycznego na Bliskim Wschodzie. Arabia Saudyjska realizuje własne koncepcje, które tylko w części odpowiadają planom USA w regionie.

Nie bez znaczenia dla wizerunku Stanów Zjednoczonych jest erozja ich atrakcyjności ze względu na sytuację wewnętrzną. Kryzys pandemiczny i migracyjny, problemy socjalne,

polaryzacja społeczeństwa – to wszystko obnaża słabość „amerykańskiego marzenia”. Być może z tych powodów decydenci Ameryki uznali, że na Ukrainie nadarzyła się ostatnia okazja, aby rozbudzić nastroje nacjonalistyczne przeciw Rosji i poprzez wsparcie kolejnej zagranicznej awantury zahamować proces dehegemonizacji świata. Prymitywny patriotyzm tłumiący wewnętrzną opozycję staje się formą ideologicznej legitymizacji przywódczej roli Stanów Zjednoczonych, ale perspektywy załamania gospodarczego i klęski polityki sankcji mogą uderzyć rykoszetem w pozycję hegemoniczną USA, a nawet całego Zachodu.

Niezależnie od sankcji nałożonych na Rosję po agresji na Ukrainę już od jakiegoś czasu Stany Zjednoczone są na wojnie gospodarczej z Chinami. Jej jaskrawym przejawem staje się koniec systemu z Bretton Woods poprzez załamanie dominacji amerykańskiej waluty w rozliczeniach międzynarodowych. Powszechne odrzucenie dolara (zwłaszcza przy zakupie energii) pociągnie za sobą nieuniknioną recesję amerykańskiej gospodarki. Jej zadłużenie zagraniczne wynosi obecnie trzykrotność amerykańskiego PKB, co po ciosie w dolara i inne waluty Zachodu będzie uderzać w stabilność całego systemu zachodniego.

Dramat wojny na Ukrainie na jakiś czas zdejmuje z wokandy publicznej problem traumatycznego schyłku Imperium Americanum. Nie ulega wątpliwości, że USA sprawdziły się w roli koordynatora strategii sojuszniczej Zachodu oraz głównego inspiratora zbiorowego przeciwstawienia się Rosji. To może być głównym pretekstem do opowiadania się Waszyngtonu za jak najdłuższą konfrontacją zbrojną na Ukrainie, aby w sferze wewnętrznej i międzynarodowej móc jak najdłużej realizować swoje hegemoniczne role. USA przy tej okazji kolejny raz potwierdzają swoje pretensje do odpowiedzialności za globalny ład międzynarodowy nie na zasadzie współpracy i współzależności, lecz na zasadzie supremacji jednej strony. Okazuje się, że hegemonia oznacza stan istnienia i umysłu, z

którego Amerykanie dobrowolnie i pokojowo na pewno nie ustąpią. Tkwi to w naturze imperializmu amerykańskiego.

Jego libido dominandi polega na ciągłym uzależnianiu od siebie różnych obszarów globu w związku z potrzebami kapitalizmu korporacyjnego, którego państwo amerykańskie jest instytucjonalnym oparciem. Procesy uzależniania, kontrolowania i penetrowania innych łatwiej przebiegają w relacjach mocarstwa hegemonicznego z demokracjami niż państwami autorytarnymi. Dlatego te ostatnie stały się największym oponentem Zachodu, a w strategii wojennej nawet wrogiem. Jest to podejście błędne z punktu widzenia interesów Stanów Zjednoczonych, gdyż jednakowo konfliktuje Chiny jak i Rosję, spychając je na pozycje sprzymierzonych strategicznie sojuszników w rywalizacji z Zachodem.

Nieuchronność pułapki Tukidydesa

Niezależnie od wszystkich atutów prymatu Stanów Zjednoczonych pod względem wskaźników potęgi mamy od jakiegoś czasu do czynienia z atmosferą niepewności i poirytowania na szczytach amerykańskich władz. Biorąc pod uwagę rozmaite analogie historyczne współcześni władcy USA doskonale zdają sobie sprawę z tego, że niezależnie od swojej onnipotencji może dojść do takiego „przeciążenia” w wykonywaniu ról przywódczych, nie mówiąc o niezadowoleniu wewnętrznym, że machina mocarstwowa nie sprosta globalnym zobowiązaniom. Wszystkie historyczne przypadki klęsk imperialnych, czy to Wielkiej Brytanii, Francji, Portugalii czy Związku Radzieckiego (nie wspominając o imperiach sprzed I wojny światowej) stanowią pouczającą przestrozę, że schyłek panowania może nadejść niespodziewanie, nawet gdy stan zasobów materialnych na to nie wskazuje. Niemalą rolę w utrzymaniu pozycji przywódczej odgrywa czynnik motywacyjny oraz wola i determinacja społeczna na rzecz utrzymania stanu posiadania (wpływów, kontroli, przymusu). Nie bez znaczenia jest kryzys tożsamości narodowej, co przejawia się w sferze rasowej i

etnicznej, nacjonalistycznej i populistycznej, kulturowej i religijnej, a także skonfliktowaniu ze środowiskiem międzynarodowym. Wiele prognoz wskazuje na dekadę lat trzydziestych (2021-2030), jako rozstrzygającą o utrzymaniu przez USA statusu hegemonu.

Przede wszystkim fenomenalny wzrost potęgi chińskiej skłania obserwatorów do rozwijania rozmaitych scenariuszy na temat ewentualnego starcia Stanów Zjednoczonych z Państwem Środka o prymat i przywództwo światowe. Największą sławę zdobyła teza Grahama Allisona o nieuchronności wpadnięcia rywalizujących gigantów w tzw. pułapkę Tukidydesa („Skazani na wojnę? Czy Ameryka i Chiny unikną pułapki Tukidydesa?”, Bielsko-Biała 2018). „Ponieważ dynamicznie rozwijające się Chiny zagrażają dominującej pozycji Ameryki, istnieje ryzyko, że kraje te wpadną w śmiertelnie niebezpieczną pułapkę, opisaną po raz pierwszy przez starożytnego greckiego historyka Tukidydesa. Opisując genezę i przebieg wojny, która dwa i pół tysiąca lat temu wyniszczyła dwa najważniejsze miasta-państwa starożytnej Grecji, stwierdził, że starcie było nieuniknione z powodu wzrostu potęgi ateńskiej i strachu, jaki wzbudziło w Sparcie”.

Ta barbarzyńska tendencja powtarzała się w historii wiele razy i trzeba zrobić wszystko, zdaniem Allisona, żeby ten czarny scenariusz nie spełnił się w odniesieniu do rywalizacji między USA a Chinami.

Z kolei radykalny w swej krytyce Noam Chomsky od lat ostrzega przed katastrofalnymi skutkami dążeń opartych na „wielkiej strategii imperialnej”, eliminującej z równoprawnej gry takie potęgi jak Chiny czy Rosja, ale także lekceważącej instytucje międzynarodowe, powołane do stabilizowania systemu międzynarodowego (Radę Bezpieczeństwa ONZ, Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości, Międzynarodowy Trybunał Karny) („Hegemonia albo przetrwanie. Amerykańskie dążenie do globalnej dominacji”, Warszawa 2005).

Nie ma wątpliwości, że jesteśmy świadkami erozji globalnej

potęgi USA, ale mało kto jest w stanie przewidzieć dynamikę przemian w perspektywie nadchodzących dekad. Ideologizacja strategii międzynarodowej Ameryki wskazuje na brak wizji koncyliacyjnych i propozycji rozwiązań kompromisowych w zderzeniu z nowymi potęgami i „resztą świata”. Amerykański establishment polityczny i militarny nie jest w stanie pogodzić się z utratą historycznych zdobyczy imperialnej hegemonii. Dlatego system międzynarodowy w dotychczasowej strukturze geopolitycznej przechodzi przez ekstremalne wstrząsy i dramatyczne przesunięcia sił.

Autorstwo: prof. Stanisław Bieleń

Źródło: MyslPolska.info